

i tam w kole zaproszonych gości opowiadają o walekach bohaterskich żołnierzy japońskich. Niektórzy malują dzikie sceny walki, bohaterską śmierć i brawurowe ataki żołnierzy, nie umiających się cofać przed żadną przeszkodą, inni opisują sceny szpitalne, konanie w mękach żołnierza lub oficera, którego bólem kres kładzie litościwa śmierć.

Dwa epizody mogą tu posłużyć za wzór, jakim duchem tchną te opowiadania, których lud słucha i które stanowią jego pokarm duchowy.

Było to po bitwie pod Nanshan — tak mówił jeden z opowiadaczy. — Tysiącami znoszono rannych z pobojowiska, lazarety były przepełnione, więc rannych umieszczano w okolicznych chałupach, gdzie zawsze jeszcze miejsca było dosyć. Noc już zaszła, a lekarze i dozorcynie szpitalne pracowały niestrudzenie, nie myśląc wcale o spoczynku. W tem przyniesiono wiadomość, że w jednej z chałup w sąsiedztwie umiera oficer i prosi o lekarza. Jeden z lekarzy wziął lampion do ręki i poszedł szybko do umierającego, a z nim udał się i ja, za zezwoleniem władzy. Weszliśmy do ubogiej lepianki, której mroki rozświetlała stojąca na ziemi latarnia, a na ziemi, na barłogu, leżał umierający oficer z oczami napół zamkniętymi. Kiedy do niego zbliżył się lekarz, otworzył oczy szeroko i patrzył na nas z wyrazem twarzy spokojnym i zastygającym powoli. Lekarz, rozpoznając zbliżającą się agonie, zapytał go o ostatnie życzenia i polecenia, jakie chciałby przesłać rodzinie. Z trudem zdołał jeszcze powiedzieć:

— Dla siebie niczego nie pragnę, lecz powiedzieć rodzinie, że mojem ostatniem w godzinie śmierci życzeniem było, by syn mój mógł zostać oficerem i mógł umrzeć z honorem za ojczyznę!

Niemniej heroiczną scenę przedstawiał ludowi w Tokio inny z kronikarzy:

Transport rannych, wlokąc się po złych i nienaprawionych drogach, zdążył do Niuczwangu. Dzień był nadzwyczaj upalny i wyczerpanym żołnierzom sanitarnym, którzy na swych barkach nieśli nosze z rannymi, udzielano krótkiego wypoczynku. Zaledwie tragarze złożyli nosze z rannymi na ziemi, gdy lekarz wojskowy, towarzyszący transportowi, spostrzegł, że jeden z ciężko rannych, podniósłszy się z trudem z ziemi, starał się iść naprzód o swych siłach, opierając się na złamanej lancy. Zdołał jednak zrobić zaledwo parę kroków i upadł osłabiony na ziemię. Zapytany, co chce robić, odrzekł, że chce sam o własnych siłach odbyć resztę drogi do szpitala. Lekarz zwrócił mu uwagę, że jest to niemożliwe ze względu na jego ciężkie rany, odniesione w walce, ale on z uporem nie pozwalał się zabrać na nosze. Gdy lekarz i inni, zdziwieni tym dziwnym uporem, pytali go o przyczynę, odpowiedział krótko:

— Oglądaj pan ramiona niosących mnie żołnierzy, a nie będziesz pan pytał!

Lekarz zbadał ramiona tragarzy i okazało się wtenczas, że biednym żołnierzom sanitarnym od niesienia rannych pootwieraly się na ramionach rany, a nogi ich na drodze pełnej wyboi tak się rozraniły, że oni sami powinni byli być zaniesieni do szpitali. Okazało się, że żołnierze sanitarni nie chcieli nikomu mówić o swych ranach, gdyż brakowało służby sanitarnej do obsługi rannych, którzy jęczeli w bólu na pobojowisku i po polowych lazaretach. Główna komenda wojskowa, dowiedziawszy się o tym wypadku, zarządziła, by odtąd przy każdym oddziale sanitarnym znajdowała się odpowiednia ilość kulisów chińskich, przeznaczonych dla transportów, a zadanie żołnierzy sanitarnych by ograniczać się do obsługi rannych tylko na polu bitwy.

Opowiadania te wymownie wskazują na stosunki, jakie panują w armii i jak traktują żołnierzy wyżsi oficerowie.

KRONIKA LWOWSKA.

(Po świętach. — Ogólne zdrowie. — Co to było? — Obwieśczenie magistratu i jego skutki. — Hygiena we Lwowie. — Kwiecień a panie. — Klub samobójców a klub tyłobjców. — Nowe metody obliczania głosów. — Skutki tych metod. — Słowo o sportach lwowskich. — Co magistrat czynić powinien. — Ochrona sportów. — Najnowsza epidemia. — Wszystko na gumach. — Gumowe refleksy. — Delikatne powozy dla lekkich osób. — Ze spraw teatralnych.)

Święta przeżyliśmy wesoło, hucznie, a co najważniejsze, zdrowo, bo prócz drobnych wypadków przejedzenia, skręcenia karku na ulicy Piekarskiej, rozprucia brzucha za drgiem żółkiewskim, ciężkiego pobicia w knajpie w rynku, wybicia oka w restauracji na Zamarstynowskiej i kilku mniej sensacyjnych skaleczeń, samobójstw i ślubów małżeńskich, kroniki policyjne i szpitalne nie notują

nic takiego, co by o braku zdrowia w mieście świadczyć mogło. Przeciwnie, okazało się, że nawet owe wszystkie wypadki zasłabnięcia, które wzięto z początku za epidemiczny tężec karku, są wprawdzie epidemiczne, ale nie niebezpieczne, bo pacjenci byli tylko aż do dna urznięci i po przespaniu się w domu, w szynku, w kozie, w rowie lub w szpitalu — stosownie do tego, gdzie kogo choroba zastała — wyzdrowieli kompletnie i bardzo dobrze wyglądają. Owe zaś porządki, jakie nakazuje magistrat *ex re* ostatniej epidemii, były wobec tego zupełnie zbyteczne, ale znowu nikomu nie sprawiły kłopotów, bo nasza roztropna ludność nic sobie z obwieszczeń magistrackich nie robi, a o zaprowadzeniu porządku i czystości ani nawet w snach wielkanocnych nie marzy. Trudno bowiem na pierwszy lepszy rozkaz magistratu zaprowadzać zaraz jakieś porządki, zanim się człowiek przekona, czy jest jakiś słuszny i uzasadniony, naglający powód do tego i czy te porządki są istotnie tak nieodzownie potrzebne, że bez nich owa *meningitis*, czy jak jej tam na imię, nie może się obejść. Jak się więc okazuje, obwieszczenie magistrackie było przedwczesne, zgola jeszcze niepotrzebne, a nawet wprost niebezpieczne z punktu widzenia higieny, bo wystarczy ruszyć gromadzące się od szeregu lat śmieci, ażeby stokroć gorsze choroby nagminne wywołać.

Część Lwowa wyjechała świątkować na prowincję, część prowincji przyjechała na święta do Lwowa, a brzydki kwiecień nic sobie z tego nie robi, dając się każdemu we znaki i nie pozwalając pięknym paniom wystąpić na *corso* w całym wiosennym przepychu. A wszystkie przygotowały tyle pięknych nowości, tyle naprzykrzały się swoim krawczyniom, ażeby koniecznie na święta kostium był gotów, tak myszkowały po wszystkich magazynach za nowościami sezonowymi, że teraz na plac im się zbiera, gdy tego wszystkiego pokazać nie mogą. Gdyby obecna szaruga miała potrwać jeszcze tylko jeden miesiąc, kronika obłąkań i samobójstw zaobfituje w taką liczbę nieszczęśliwych faktów, jakiej nie zna Monte Carlo ani garnizon przemyski.

Jeżeli już mówię o samobójstwach, to muszę wspomnieć o świeżo u nas odkrytym klubie samobójców, który ma istnieć we Lwowie wśród obiecującej młodzieży, a który nie postarzał się nawet o statuta, zatwierdzone przez namiestnictwo. Do klubu tego należą młodzieńcy, którzy w dociekanii odwiecznej zagadki bytu, przejęci bolem istnienia, przekonani o swojej wyższości, jednym słowem nadludzie — przyszli do przekonania, że cały ten brudny świat i jego instytucje: egzaminy, dwójki, repetowanie, garbowanie skóry, zakazana miłość, różnica własności, pieniądz, etc., że wszystko to razem nie warto nic więcej, nad zwykłe kopnięcie nogą i celne wypalenie sobie z metarewolweru w nadgłową, przy której to sposobności można łatwo i tanio, a bez pomocy lekarza, przedostać się tam, gdzie niepodzielnie panuje wolność, miłość i nieograniczony kredyt. W tym celu schodzą się kandydaci na samobójców w knajpie, grają na cytrze i deklamują wiersze, cicho piją piwo a głośno są pijani, raz na rok wylosowują tego, który ma skwitować ze świata doczesnego, a od czasu do czasu, przeważnie w nocy, chodzą gremialnie na cmentarz, ażeby się dowiedzieć, co porabia kolega-nieboszczyk, który przy ostatniem losowaniu dotrzymał słowa i palnął sobie w łeb. Tu wygłaszają mowy żałobne do nieboszczyka, a że ten rzadko kiedy na te przemówienia odpowiada, co ma oznaczać, że się z treścią przemówień zgadza, przeto ze śpiewem radosnym wracają klubowcy do miasta. Jak słyhać, zawiązują ojcowie członków tego klubu inny klub, którego zadaniem będzie, metodą odtylecowa (tak skuteczną i wypróbowaną przy karabinach) wypędzać członkom klubu samobójców ich idee z odwrotnej strony, a akcja ta będzie mniej niebezpieczna, a więcej pożyteczna. Wtedy dopiero przyszli samobójcy zrozumieją i odczują ból istnienia i to w najboleśniej-szem tego słowa znaczeniu, bo na własnej skórze. Klub ojców ma nosić skromną nazwę „klubu tyłobjców“. Poszczególnych członków klubu samobójców nie zdołano dotąd wyłapać.

Natomiast stwierdzono z całą stanowczością, że nie należał tam żaden z członków naszej rady miejskiej, co nawet niektórych wtajemniczonych dziwić musi. Największym kłopotem naszej rady miejskiej są jeszcze ciągle wybory, a raczej skrutynium wyborcze. Im dalej w las, tem więcej głupstw. Rezultat wyborów nietylko nie jest jeszcze wiadomym, ale, jak się zdaje, już nigdy wiadomym nie będzie. Profesor Ciesielski wyczytał w jednym z krakowskich dzienników (do czego

się *notabene* nie przyznał) że należy inaczej obliczać głosy, mianowicie ustalić absolutną większość tak, że ci, którzy mieli przyjąć do ściślejszych wyborów, będą mogli wprost wejść do rady. Na to ci, którzy otrzymali tak małą liczbę głosów, że nawet do ściślejszych wyborów nie przyjdą, wynaleźli całkiem nową metodę obliczania głosów, dzięki której, będą mogli wejść do rady miejskiej wszyscy obywatele miasta Lwowa wraz z synami, wnukami i czeladzią. Te wszystkie jednak nowe metody obliczania głosów będą miały ten skutek, że skrutynium nigdy się nie zakończy, dawni radni zasiadają się na śmierć w ratuszu, a nowo wybrani radni nigdy się do rady nie dostaną i po najdłuższem życiu będą musieli swoje mandaty przekazać w testamentie, razem z kamienicami i długami, swoim potomkom.

Jeszcze niema ustalonej pogody, a ulice zaroiliły się już od rowerów, motocyklów i automobilów. Sportsmeni lwowscy wysypali się na bruk w tak wielkiej liczbie, że musi to radością napełnić serce każdego dobrze myślącego mieszkańca. Ale u nas ludzie nie znają się na grzeszności i wychowaniu i nie umieją ocenić znaczenia sportu. Oto przechodnie z karygodną, a oburzającą lekkomyślnością, przeszkadzają rozmaitym sportowcom, którzy zmuszeni są w nagłym przejeździe potykać się o jakieś ciała pieszaków, rozbijać się i przewracać, przejeżdżać drugich i kaleczyć bez końca. A jednak powinien świetny magistrat wziąć raz w obronę biednych spottmenów i bodaj dla przykładu ukarać surową grzywną pieszych przechodniów, którzy przecież mogą jeździć fiakrami i tramwajami, a nie wałęsać się pieszo po ulicach i tamować postęp i cywilizację. Taki rower z wygiętym w kabłąk cyklistą, taki automobil, szerzący przed sobą popłoch trąbieniem i turkotem, a zostawiający za sobą dużo kurzu i trochę smrodu, to przecież postęp XX wieku, to cywilizacja, której nasi przodkowie nie znali, a którą my winniśmy uszanować...

Ostatnim sportem *non plus ultra* jest u nas obecnie jeżdżenie na gumach, tak zwanych *gummiradlerach*. Jeżdżenie fiakrami o gumowych kołach jest obok *meningitis* najbardziej zatrważającą epidemią ostatnich czasów we Lwowie. Dla niektórych, dotkniętych tą chorobą osobników, stał się ten sport tak koniecznym, że *gdyby bodaj raz na dzień nie przejechali się przez miasto na gumach, nie mogliby spokojnie zabrać się wieczorem do poważniejszej pracy, jak do ferbla i t. p.* Jeżdżenie na gumach stało się już nietylko kwestią tonu, ale kwestią społeczną, a ludzie, którzy zmuszeni są jeździć zwykłymi fiakrami, nastawiają kołnierze od paltotów, zasuwają kapelusz aż po uszy i robią wszystko możliwe, ażeby ich nie poznano, bo grozi im kompromitacja aż do czwartego pokolenia. Gdybyś zaś szanującemu się człowiekowi, zwłaszcza z towarzystwa, publicznie proponował przejażdżkę zwykłym fiakrem, zapozwałby cię do sądu karnego o przekroczenie z § 496 ustawy karnej, albo przysłałby ci sekundantów.

Jaki weźmie obrót owa epidemia gumowa, nie da się jeszcze dziś przewidzieć, ile, że władze nie dotąd nie uczyniły dla jej zaradzenia. Złe skutki są już dziś widoczne i to nietylko na ludziach, ale i na zwierzętach. Konie, używane do gumowych powozów, spoglądają z pogardą na wszystkie inne konie fiakerskie, nabierają manieri, a że i robota ciężka im nie smakuje, a nadto powozy są zbyt delikatne, przeto wożą po największej części tylko lekkie osoby: lekkich t. j. gołych panów i lekkie kobiety... nawet bardzo lekkie... te najłżejsze.

Kwestya dyrekcyi Solskiego w Krakowie jeszcze ciągle zaprzata umysły teatromanów, a zainteresowanie jest tak wielkie, jakiego nie pamięta najstarsza chórzystka operetki lwowskiej — najmłodsza pamięta dzieje teatralne ostatnich lat czterdziestu... Łącząc z tem rozmaite, mniej lub więcej prawdopodobne wersje. Niektórzy twierdzą, że Solski bierze teatr dla Pawlikowskiego, który za rok będzie wolny we Lwowie i będzie mógł przenieść się do Krakowa. Pawlikowski nie zamierza podobno pozostać we Lwowie nadal, gdyż jest to zbyt wielka fabryka, przechodząca siły i kieszeń jednego człowieka. Warunkiem *sine qua non*, ażeby Pawlikowski pozostał we Lwowie, jest umiastowienie, lub ukrajowanie teatru lwowskiego. A że do tego daleko, więc oczekujcie go w Krakowie na *pe*.

Klewe.